

Zaprosiłam kolegę

– Czy mogę zaprosić na niedzielę kolegę? – zapytała córka.

Matka spoważniała. Na niedzielę jej córka nigdy kolegów nie zapraszała.

– Na niedzielę?

– Tak.

– Czy ten kolega to ktoś na poważnie? – drążyła matka.

– Nie wiem, mamo.

– Kim on jest?

– Będzie mama mogła osobiście go zapytać.

No tak – pomyślała córka – zaraz będzie zapytanie o stan zarobków, wiek, pochodzenie i zamożność rodziców. Jak to ścierpieć? Żeby tylko nie było słowa o zasługach i zaletach tak wspaniałego młodego mężczyzny, jakim w oczach matki był syn – ustawiony, sytuowany i w ogóle niedościgniony wzór dla tych wszystkich amantów Zuzanny.

Koledzy jej córki wpadali niezapraszani. Zazwyczaj po drodze albo po coś. Niektórzy byli według matki bardzo sympatyczni.

– To tylko koledzy – zarzekała się Zuzanna.

Przychodził chłopak jak malowany, pochwalić się długogrającą płytą Skaldów albo Czerwono-Czarnych – kolega. „Nie zwracam na niego uwagi, to tylko on chodzi za mną”. Przychodzi inny z dwoma biletami do kina. Dostał je podobno od znajomego i nie chce, żeby przepadły. „To kolega, który nie wiedział, co robić z biletami”. Przychodzą z zaproszeniem

na studniówkę, żeby było do pary – to też koledy. Przynosi tomik wierszy po to, żeby przeczytała i osądziła, czy dobre – kolega. Dla niej to ktoś zupełnie nieważny. Przecież to tylko kolega. Prosi, żeby pomogła wybrać apaszkę na prezent dla mamy – to też kolega.

Matka próbuje wyprowadzać Zuzannę z błędu.

– Jeżeli uciekasz, to uciekaj tak, żeby mógł cię dogonić. Nie traktuj każdego „kolegi” z takim dystansem i pobłażaniem. Mało który zniesie twoje wyśmiewanie i tak bardzo bezlitosną krytykę na dłużej.

– To niech sobie idzie!

– Uważaj, bo jak już odejdzie, to na zawsze. Znajdzie dziewczynę, która będzie się do niego przymilać, aż go złapie.

Zuzanna nie słuchała rad matki. Raz wyjaśniła jej dlaczego. Prawda zabolowała Marię jak pchnięcie nożem. Zwinęła się wtedy tak, jakby rzeczywiście została ugodzona.

– Dlaczego nie chcesz mi się zwierzyć jak inne córki swoim matkom? – zapytała.

– Nie chcę oberwać butem po twarzy, jeśli powiem coś, co się mamie nie spodoba!

To było wtedy, gdy powiedziała prawdę o tacie. Miała już siedemnaście lat.

– Ja wtedy córeczko tak w nerwach... – Matce pojawiły się łzy w oczach.

– A ja teraz zupełnie spokojnie, bez nerwów, to wszystko sobie przypominam – mściwie, nie patrząc na nią, odpowiedziała córka.

To już bardzo zabolowało.

– Uważasz, że jak byłam w twoim wieku, to kogoś interesowało, co sobie myślę albo chcę czy nie chcę? My, młodzi, mieliśmy tylko słuchać. U drzwi bat był po to, by o tym przypominać.

Nadskakujących zalotników Zuzanna bardzo źle traktowała. Zachowywała się jak księżniczka z aspiracjami, czekająca na księcia z bajki. Nie zależało jej tak bardzo na małżeństwie jak jej koleżankom.

– To tylko kolega – zarzekała się, nie chcąc w ogóle słuchać rad matki, która przecież chciała dobrze.

– Zaraz każdy z twoich kolegów będzie żonaty!

– No i co z tego!

– Wyjdź, dziecko, już w końcu z piaskownicy i przejrzyj na oczy. Już nie masz czternastu lat, żeby robić sobie takie dziecinne żarty, jak te z pletwonurkami, o których opowiedziałas, a które zupełnie dorosłym pannom nie pasowały.

– Nawet tym nie zaimponowałam matce, nawet tym! – posmutniała Zuzanna. Przecież cała ta heca świadczyła o jej atrakcyjności i była jej jedyną wakacyjną przygodą, którą matce wyjawiała...

– Jest zepsuta tym powodzeniem – uważała mama Zuzanny i lamentowała wśród kumoszek. – Przebiera i przebiera. Zostanie sama przez to swoje przebieranie.

– Gdyby była brzydsza albo nie tak oblegana, to by chwyciła, co jest – uważały sąsiadki z podwórka. – Mówi się o koleżeństwie, równości i co tam jeszcze, ale to wszystko nieprawda!

Jej matka, tak bardzo nieszczęśliwa jako mężatka, panicznie bała się ewentualnego staropanieństwa córki. Bardzo chciała, żeby udało jej się poznać

„dobrego człowieka”. Wystarczyłoby jej do szczęścia tylko to, żeby zięć nie był taką ciamajdą jak jej nieszczęsny mąż.

Wiedziała swoje, bo za nią też się kiedyś uganiali. Z tą różnicą, że o zalotnikach mówiło się wtedy „konkurent”, „absztyfikant”, „starający się”. Dla Zuzanny każdy z nich był kolegą albo kumplem i już. Uwierzyła w tę socjalistyczną demagogię o koleżeństwie, społeczeństwie i równouprawnieniu kobiet, które bez męża są samodzielne, a nie samotne.

Niby z jakiej racji mam w ogóle wychodzić za mąż? – rozmyślała córka Marii. – Czy to akurat konieczne? Dlaczego to taki mus?

Zuzannie, która nigdy nie widziała żadnego ciepłego gestu pomiędzy swoimi rodzicami, małżeństwo wydawało się jakimś niewdzięcznym obyczajem – tradycją nie do uniknięcia.

Czemu wszyscy tak dążą do małżeństwa, zwłaszcza dziewczęta, dla których jest ono ciężarem? Będą jako mężatki gotować, pracować, sprzątać i w ogóle mieć na głowie cały dom, a tak desperacko się do małżeństwa śpieszą – zastanawiała się czasem w towarzystwie Bogusi, która niby takiemu rozumowaniu potakiwała, ale tak naprawdę wychodziła wprost ze skóry, żeby kogoś złapać.

Zdaniem sąsiadek z podwórka, pani Dąbrowska tak często biegała po mieście, żeby niedrogo kupić swojej córce coś ładnego. Żeby jej Zuzanna dała się zauważyć, żeby ładnie się prezentowała, żeby...

Tymczasem niewdzięczna pannica miała te starania w nosie! Raz doprowadziła matkę do łez. To było

wtedy, kiedy poradziła jej, żeby oddała do komisju pana Adama śliczną, wydzierganą na drutach ażurową garsonkę. To cacko miało być prezentem dla Zuzi na ukończenie osiemnastego roku życia.

– Nie założę za żadne skarby, bo to takie jakieś ciotowate, babciowe. Za różowe, za słodkie, za lalkowate... – Właśnie dlatego że matka i jej kumoszki były tym dziełem zachwycone, nie chciało się jej na to cudeńko patrzeć.

Matka czuła, że źle wychowała córkę, bo teraz jej słowa to rzucanie grochem o ścianę. Tak, jakby coś przeoczyła. Za dużo było między nimi dwiema złości, za mało spokojnej rozmowy. Co z tego, że Maria zawsze wypruwała sobie żyły, jeśli bywało czasem tak, że lepiej córce z oczu zejść. Ktoś kiedyś jej powiedział, że podduśła Zuzię swoją nadopiekuńczością. Zachodziła w głowę, jak można być nadopiekuńczą. Zresztą pierwszy raz w życiu usłyszała takie słowo jak „nadopiekuńczość”.

Zuzanna traktowała zwykłych dobrych chłopaków jak naprzykrzające się muchy. Dążyła do tego, żeby matce na złość zjawić się z „kimś”; byłby to na przykład naczelny, dyrektor, ordynator, ważna, słynna osoba i na pewno nie byle kto. Wiele, bardzo wiele by zrobiła i wiele by poświęciła, żeby tylko zaimponować matce swoim mężczyzną i stanąć obok, jak zero obok wysokiej cyfry.

Wygórowane ambicje Zuzanny nie wzięły się z nadmiaru przeczytanych romansów, tylko z wypowiedzianych kiedyś nieostrożnie słów matki.

– Nigdy nie dostanie ci się taki mąż, który by dorównał twojemu bratu!

Matka na pewno dawno już zapomniała o tym, że coś takiego jej się wysnęło. Za to córka nie zapomniała słów, które tak mocno zraniły. Ich wspomnienie coraz mocniej bolało i było coraz wyraźniejsze. Niczym wrzód.

Zuzia gotowa by była bardzo wiele poświęcić, żeby tylko dostąpić zaszczytu zadziwienia wszystkich wokół, a matkę doprowadzić do tego, by wreszcie zaniemówiła. Pragnęła mdłą i poniżającą jak jałmużna łaskawość matki wepchnąć jej do gardła.

Cóż, brat Zuzanny, Zbyszek, jako jeden z wyróżnionych za wysoką lokatę absolwent uczelni wyższej i działacz partyjny wysokiego szczebla, uważany był za nie byle kogo. Gdzie tam Zuzannie do niego! Istnienie tak znakomitego brata sprawiało, że ona zawsze wypadała przy nim blado. Gdy w podstawówce dostała oznakę wzorowego ucznia, sąsiadki z podwórka powiedziały:

– No, no... Twoja mama wreszcie jest z ciebie zadowolona!

Nie miały racji. Nie była z Zuzi zadowolona, tylko ze Zbyszka, który dostał medal na sportowej spartakiadzie i był w gazecie! To dopiero zaszczyt! Wszystkich wzorowych uczniów nie wymieniało przecież w gazecie. Co tam Zuzia...

Nawet wtedy, jeszcze w dzieciństwie, kiedy prawie samodzielnie nauczyła się literek i sylabizowania i odebrała za to tyle szczerych zachwytów od

sąsiadów – matka przyjęła ten wyczyn wzruszeniem ramion.

Zuzanna sama przed sobą nie potrafiła przyznać, że wcale nie szukała partnera, chłopaka na zawsze, swojej połówki, przyjaciela na całe życie. Po prostu sądziła, że wiadomością o narzeczonym dyrektorze zdobędzie wreszcie uznanie matki; że gdy zdobędzie księcia, który olśni i zadziwi wszystkich wokół, matka nie będzie mogła ochłonać ze zdumienia i będzie musiała uznać, że jej córka nie jest gorsza od kogośkolwiek.

Te poniżające słowa wypowiedziane bezmyślnie, a szczerze przez matkę uwielbiającą synka wyrzucały nieszczęsną dziewczynę poza nawias rodziny. Uświadomiły jej, że żaden z jej mężczyzn nie zaspokoi oczekiwań mamusi.

Chyba że... Chyba że stanie się cud!

Zuzanna na ten cud czekała. Na przykład na to, że zwróci na nią uwagę dyrektor kombinatu, ordynator szpitala, naczelny „Trybuny Ludu” albo ktoś taki. Jeszcze dobrze by było, żeby był to zasłużony pan na stanowisku, miał prezencję młodzieńca i był zgrabny jak pistolecik. Nie chodziło jej o to, by mamusia zaakceptowała jej chłopaka, bo na pewno ze zboląłą miną i westchnieniem „gdzie jemu do mojego Zbyszka” łaskawie przyjąłaby każdego zięcia. Zuzanna chciała doznać czegoś więcej niż jej łaskawość. Czekwała więc na kogoś wyjątkowego.

Odrzuciła Julka, chociaż z nim mocno się zaprzyjaźniła. Matka obserwowała ich dyskretnie, z nadzieją... Potrafili się wygłupiać, śmiać, nawet razem

nauczyli się tańczyć, ale Julek nie mógł się zaliczać do księżąt i był dla Zuzanny „tylko kolegą”. Matka zaczęła mu nadskakiwać i dopytywać o wspólną przyszłość.

– Czy mama myśli, że na lepszego mnie nie stać?

– Co to znaczy lepszego?

– Lepszego od Zbyszka! – bez wahania odpowiedziała i konkretnie, bardzo konkretnie uzasadniła.

– Co to znaczy?

– Zbyszek jest magistrem i czołowym zawodnikiem Włókniarza, a Julek kim?

– Julek jest bardzo miłym i rozsądnym chłopcem.

– Więc pozwalam mu być moim kolegą.

Był tak długo kolegą, aż po kolejnej próbie przełamania granicy koleżeństwa przekonał się, że dziewczyna pozwoli mu tylko na nadskakiwanie, adorowanie – i na nic więcej. Zawsze gdy usiłował ją mocniej przytulić, stanowczo go odpychała i paraliżowała słowami:

– Jesteś tylko kolegą!

Któregoś dnia Julek zniknął z życia Zuzanny. Dopadała ją później czasem z tego powodu melancholijna zaduma. Siedziała wtedy skulona na dywaniku między kwietnikiem ze skrzydłokwiatem a tapczanem i próbowała znaleźć odpowiedź na pytanie: Dlaczego teraz, kiedy się nie zjawia, tak bardzo go brakuje... Przecież miał być tylko kolegą.

Idąc za marzeniem o zdobyciu względów królewicza, Zuzanna stawała się uderzająco podobna do matki. To Maria przed laty pozwoliła się wydać za obojętnego jej, a nawet niezbyt lubianego Jaśka,

aby zdobyć podziw otoczenia. Niekoniecznie szczerze wyrazy zachwytu ciotek nad tym, jak to się cudownie trafiło sierocie, działały na młodziutką Marię jak miód na serce. Świadomość, że stanie się poprzez małżeństwo kimś lepszym, odwróciła uwagę od niepokoju o to, że tak naprawdę nie po drodze jej z Jaśkiem, bo pod żadnym względem się nie rozumieją.

Teraz, po latach, Zuzanna tak samo jak jej matka dążyła do tego, żeby wszystkich naokoło zadziwić i olśnić, choćby za cenę złamanego życia.

Dyrektor z PGR-u

Zuzanna długo zastanawiała się, jak powiedzieć matce o pochodzeniu chłopaka. Tak czy siak, słowo PGR trzeba było wymówić.

– Wynoś się do PGR-u! – pomstowano na sąsiadkę, która zostawiła po sobie brudny wspólny zlew na korytarzu.

Zuzanna zapamiętała z podwórkowych pogaduszek, że do PGR-ów wysyła się ostatnią hołotę. Pegierus to przekleństwo. Rzuca się nim wtedy, gdy nie ma innego określenia na wyrażenie pogardy i podsumowanie czyjegoś braku kultury. To jeszcze gorzej niż być obrzuconym obelgą „Ukrainiec”, bo Ukrainiec to chociaż ktoś, kogo należy się panicznie bać.

Wszyscy na ławeczce zaśmiewali się do łez z żartu, jak to ksiądz na spowiedzi tłumaczył penitentowi, że praca w PGR-ze to nie grzech, tylko wstyd.

To było akurat po pochodzie pierwszomajowym, na którym prawie godzina zeszła na słuchaniu o sukcesach uspołecznionych form gospodarowania, będących zapowiedzią świetlanej przyszłości nowoczesnej socjalistycznej ojczyzny. Ktoś zakwestionował najnowszy opisany w „Trybunie Ludu” pomysł wdrożenia do polskiego klimatu uprawy ryżu, ktoś opowiedział o wspomagających PGR-y dotacjach. Wyszło na to, że „my wszyscy, czyli państwo” płaci za to, żeby ta sfera nierobów miała mieszkania z łazienkami i kolonie dla dzieci za darmo.

– Państwo, czyli my? Jak to rozumieć? – próbował po żydowsku dociekać sąsiad Koniecznyński.

– Państwo zabiera i potem daje nam, czyli jesteśmy żywieni przez PGR-y. Pewnie poprzez państwowe sklepy, które na szyldzie mają napis „Mięso”, a wewnątrz jest rzeźnik odwrotnie niż przed wojną: jak był szyld „Rzeźnik”, to w środku było mięso – głośno myślał Wiktorski

– Ile zabiera i ile daje upaństwowione rolnictwo, jeśli jeszcze coś wysyła ruskim i trzyma ich armię. Widziałem pełno ich w Legnicy. Żołnierze na głodnych nie wyglądali.

– Na pewno państwo za dużo daje PGR-om.

– A myślicie, że na wsi to państwo zaprowadziło sprawiedliwość? – wypowiadał się Wiktorski, który miał w PGR-ze kogoś z dalszej rodziny (tak twierdził, bo wstydził się przyznać, że chodziło o rodzinnego brata).

– Ilu najlepszych gospodarzy Bierut wykończył! Najgorsze próżniaki, co to się niczego nie dorobiły,

miały dawać trzydzieści kilogramów zboża z hektara, a gospodarze pełną gębą, którzy od dziada pradziada zaharowywali się, byli karani za skrzętność pięć razy większą kontrybucją.

Przytoczono relację kuzyna jednej z sąsiadek. Jechał w odwiedziny do siostry z PGR-u z drugiej biednej części kraju, taszcząc dwie paki szynek i słoniny. Mówili mu, że w PGR-ach to głód jak w ruskich kołchozach. Wszedł na przyjęcie nieomal weselne. Dymiło, pachniało. Mieli swojego weterynarza. W soboty często podpisywał okulawienie albo złamanie nogi jakiegoś młodego byczka, albo paskudną, wymagającą natychmiastowej utylizacji chorobę. Wyrok na zwierzę zapadał, gdy ono spokojnie skubało trawę. Oszukaństwo rozgłosił po pijaku brat głównego księgowego.

Mieszkańcy podwórka byli zgodni w poglądach, że gospodarze i gospodynie ze wsi to nie taka hołota jak ta zbieranina zapędzona do PGR-ów.

– Taki ze wsi to umyje się w łyżce wody.

– Twaróg i masło wyrobi od samego początku, bo od odebrania porodu od krowy, poprzez wyhodowanie jałówki, do wyprodukowania mleka. W ogóle to na wsi są pracowici dobrzy ludzie. Tacy, do których można wywieźć dzieci na wakacje.

Zupełnie inaczej zdaniem podwórkowych sąsiadów należało oceniać pracowników PGR-ów.

– To przecież ostatnie męty, spędzone na resocjalizację. Nie gospodarują, tylko robią, co nakazane. Od rządzenia mają kierownictwo, dyrekcję, ministerstwo. Jak zostanie nakazane sadzenie ryżu, to będzie sadzony ryż.

Jadwiga opowiedziała o awanturze w jednej ze szkół związanej z dziećmi z PGR-u:

– Niedouczony uczący dwudziestolatek po maturze, sam kształcący się na nauczyciela, zezłościł się marnymi efektami swojego nauczania i na lekcji w szóstej klasie rzucił słowami: „Do PGR-u pójdziecie. Do gnoju!”. Wywołał wilka z lasu. Po wakacjach do siódmej klasy przyjęto kilku uczniów z PGR-u, ze szkoły, w której były klasy łączone. Stamtąd, skąd miały trafiać najgorsze nieroby, śmierdzące lenie. Już w pierwszym dniu po lekcjach rozegrała się bójka. Rzucone złe ziarno rozwinęło się bujnie niczym chwast. Na wywiadówce trzeba było poprosić rodziców, aby zakazali swoim dzieciom dokuczać nowym z PGR-u. Już lepiej być kmiotkiem, burakiem niż pegieerusem – uważano.

A teraz Zuzanna pierwszy raz zaprosiła kolegę na niedzielny obiad do domu. Akurat takiego z PGR-u. Jej mama od razu pomyślała o generalnym sprzątnięciu i wystawnym obiedzie, żeby pokazać się z jak najlepszej strony, jeśli córce wreszcie trafił się ktoś poważny.

– Kto to jest? – Wiadomo było, że tak właśnie zapyta o zaproszonego chłopaka.

Córka obmyśliła sobie, że na takie pytanie matki z obojętną miną odpowie: „Dyrektorem!”. I stało się.

– Kim jest ten kolega zaproszony na niedzielny obiad?

Zuzanna wyniośle odpowiedziała:

– Jest dyrektorem do spraw hodowli roślinnej. Mieszka na wsi i pracuje w PGR-ze.

– Dyrektorem?? Na pewno? Może z ciebie zakpił?
– Jak to?! Poznałam go na zakładowym wyjeździe i pół kombinatu może zaświadczyć!

– Może to jakiś starszy wdowiec z dziećmiakami?

Już, już awantura wisiała w powietrzu. Była urażona ambicja i ostry ton, jakiego nie powinno się używać w rozmowie z rodzicami. W ostatniej chwili Zuzanna opanowała gniew i strach przed awanturą. Spokojnie, bardzo spokojnie powiedziała:

– Naprawdę jest dyrektorem! Został nim jeszcze przed trzydziestką. Jest ode mnie starszy tylko o dziesięć lat.

– Pewnie jest wykształcony?

– Tak, po studiach.

– To nie mógł zaczepić się gdzie indziej, tylko w PGR-ze?

– Na przewodniczącego Rady Głównej Organizacji Narodów Zjednoczonych wybrali kogoś innego – odparowała córka bez zastanowienia się. Zdziwiła samą siebie. Skąd wzięło się u niej tyle bezczelności i zdecydowania w bronieniu Józka?

Matka z wielkim trudem powstrzymała się od wybuchu złości.

Nic tu po krzykach – pomyślała. Usiadła na krześle, oparła się o ścianę, patrząc z niesamowitym zdziwieniem na Zuzannę, pokazała ręką swoje serce i po paru sekundach słabym tonem zapytała:

– Co robią jego rodzice?

– Jego mama pracuje w PGR-ze.

– Co robi?

– Jest oborową, więc zajmuje się krowami.

– A ojciec?
– Jest pracownikiem fizycznym kombinatu.
– Jakie mają gospodarstwo?
– Małe, trzy hektary.
– Teraz jest nowoczesność, że z chłopów idą do miasta, uczyć się na inżyniera. – W wypowiedzi matki nie było takiego entuzjazmu, jakiego oczekiwałaby córka.

– O wiele trudniej zostać inżynierem komuś, kto od małego dziecka harował na gospodarce – znów stanęła murem za swoim mężczyzną Zuzanna.

– No to znaczy, że jednak wsiok!

– A nie dyrektor w kombinacie? – zapytała spokojnie Zuzanna.

Matka wciąż patrzyła na córkę z takim zdumieniem, jakby widziała ją pierwszy raz w życiu. Nigdy, ale to nigdy jej córka nie postawiła się jej z takim zdecydowaniem i spokojem. Po chwili, zupełnie po ludzku, równie spokojnie jak Zuzanna, Maria zainteresowała się swoim potencjalnym zięciem:

– Jeśli są tacy biedni, to jak utrzymał się na studiach? Musiał dostać wysokie stypendium.

– Nie tylko! Opiekuje się nim bezdzietny wujek, chrzestny Józka.

– Co to ma do rzeczy?

– U nich na wsi i w PGR-ze ojciec chrzestny to ktoś, kto opiekuje się chrześniakiem całe życie. U nich kum to kum. Ja na przykład nie znam zupełnie swoich rodziców chrzestnych.

– Znów chcesz wywołać awanturę! Znów coś insynuujesz! – Matka była wyraźnie podekscytowana

i gotowa wybuchnąć. Już, już w powietrzu wisiała awantura z grzmotami. Obydwie jednak postarały się ostatkiem sił nie wybuchnąć. Zuzanna też zacisnęła zęby. Zapanowało milczenie.

Matka siedziała teraz przed oknem, bez swoich nieodłącznych drutów z robótką, podparła brodę i zastanowiła się nad czymś tak intensywnie, że aż pogłębiła jej się bruzda między brwiami.

Inżynier na stanowisku... Dobrze – rozpatrywała. – Pracuje w PGR-ze – niedobrze, brak prezencji – niedobrze, mieszka na wsi przy rodzicach – niedobrze, ma przyobiecane mieszkanie zakładowe w bloku i jest na dodatkowej liście do tego mieszkania – to dobrze.

– Zuzanno... – W pewnej chwili uroczyście, choć cichutko szepnęła. – Postaraj się nie mówić nikomu, że Józek pracuje w PGR-ze. Po co mają wiedzieć.

Z tygodnia na tydzień Zuzanna i tak coraz mniej przejmowała się tym, co mama, tata, brat i sąsiedzi z podwórka powiedzą. W towarzystwie swojego mężczyzny czuła się bezpieczniej, radośniej niż kiedykolwiek do tej pory i zamierzała być z nim za wszelką cenę.